

Piotr jakoś przeżył święta. Spacer, wieczorne łażenie, rozmyślanie na świeżym powietrzu pomagało mu przezwyciężyć głód alkoholowy, który dopadał go zawsze wieczorem, mniej więcej o tej samej porze, jakby jego ciało było najbardziej precyzyjnym zegarem. Pocenie się, suchość w gardle, naprzemienne ataki chłodu i buchającego gorąca trapiły jego ciało. Szedł szybkim krokiem, zdecydowanym marszem, by jak najszybciej zmęczyć się, oszukać przyśpieszonym tętnem i ciężkim oddechem. Oddychał bardzo głęboko, nosem wpuszczając powietrze, przetrzymując chwilę i wypuszczając buzią. Kilkadziesiąt razy pod rząd, aż poczuł kręcenie w głowie i słabość. Hiperwentylacja – osiągał odpowiedni stan. Zwalniał, zaczynał iść normalnym krokiem, by wrócić do domu i szybko zasnąć. Padał lekki ciepły deszcz, wiosenna aura pomagała mu w odprężeniu. I tak przez dwa dni pod rząd. W drugi dzień świąt basen był już otwarty, na szczęście.

Wtorek, 7 kwietnia 2015.

– Plac Na Rozdrożu. Tam jest taka stara komunistyczna knajpa. Na rogu, przed zjazdem na Agrykołę. Tam najlepiej.

– Wiem, po drugiej stronie placu jest Ministerstwo Sprawiedliwości. – Piotr lokalizował w głowie miejsce.

– Dokładnie. Kiedyś było pełne tajniaków. Na pewno jest dobrze monitorowane. W razie czego wszystko się nagra.

– W razie czego...

– Raczej przyjedzie sam, ale niech pan uważa, przyjrzy się, kto siedzi przy innych stolikach. Jeśli zauważy pan coś dziwnego, niech pan napisze albo zadzwoni. – Wojciechowski instruował go, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy przy Mickiewicza, tuż za Ogrodem Japońskim.

Wiosna na dobre się rozbuchała. Słynne w tym miejscu wrocławskie magnolie nie zawiodły, rozkwitając dziwnym, trudnym do określenia kolorem. Popołudniowe spacerki z wózkami, dziadkowie z wnuczętami karmiący kaczki. Jakaś grupka zbłąkanych turystów wymachiwała przewodnikami, kłócąc się o kierunek drogi. Minęli parkę nowożeńców, targających sprzęt za fotografem. Wiosenne światło napawało beztroską powszedniego dnia po świętach.

– Myśli pan, że Robercik go wystawi? Że jest aż tak pozbawiony własnej woli? – Piotr nie chciał przyjąć powagi ostrzeżeń.

– Nie sądzę, ale wie pan, druga okazja może się nie zdarzyć. Jeśli jednak by się pojawił, to trzeba to udokumentować. Dalej zależy panu na złapaniu Roberta? Czy na Seba..., kurczę, jak?

– Krzysztofie...

– No właśnie, na Krzysztofie kończymy? – Detektyw czekał na wyraźną odpowiedź.

– Muszę się spotkać. Zobaczyć, kto to jest. Nie wiem, co jest faktem, a co wymysłem. Na ile to wszystko ściema...

– A na ile przestępstwo. – Wojciechowski przykrócił dywagacje Piotra. – Niczego nie można wykluczyć. Jeśli te pół bańki jest autentyczne, wyjdą powiązania z firmami odżywkowymi, może handel dopalaczami. Pojawią się firmy słupy. Zobaczymy. Ale mnie interesuje bardziej jeszcze ten wypadek, wie pan, czy to się wydarzyło... – tym razem Grzegorz zaczął dywagować. – Pan Krzysztof rozwinął się w tym temacie jakoś?

– To się podobno wydarzyło w Kościanie. Opowiedział mi dokładnie, gdzie. Ja znam to miejsce. To jest parking, na

którym jadąc z Wrocławia do Poznania, często się przebierałem w garnitur. Był taki moment, że przez chwilę jeździłem tam do klientów w zastępstwie kiedys, nieważne.

– Mówił, że znalazł się po wypadku w szpitalu w Poznaniu, dobrze pamiętam? Nie ma szpitala tam na miejscu? Z Kościanu to jakieś plus minus pięćdziesiąt kilometrów. – Detektyw podtrzymywał swoje wątpliwości.

– On trafił do prywatnej kliniki, tak mi mówił.

– Karetką go nie wieźli przecież, sprawdziłem. – Grzegorz uśmiechnął się. – Nie było zgłoszenia, nic. Żadnego wypadku w tym czasie w tych okolicach, już mówiłem.

– Kolejny błąd? Po co? – Piotr jak zawsze niecierpliwił się w takich momentach, kiedy detektyw podważał wiarygodność przyjętej wersji.

– Nie, nie. Tego nie powiedziałem. To nawet lepiej się składa. Wyobraźmy sobie, jak to się potoczyło. – Chwyć patyk, by na wilgotnej ziemi narysować prawdopodobny przebieg wypadku. – Opisz pan mniej więcej to miejsce?

Piotr chwycił inny patyk i zaczął szkicować.

– Krajowa pięćka w okolicach Kościana przebiega jako obwodnica. Nie wjeżdża się na szczęście do miasta, choć i tak jest tam ciasno. Od strony Poznania mija się rondo, potem most na jakiejś małej rzeczce, nigdy się nie interesowałem na jakiej... – na ziemi pojawiały się linie i kreski, szkic tamtej okolicy.

– Kanał Kościański.

– Jak?

– Kanał Kościański. W tym miejscu nie ma żadnej rzeki, panie Piotrze. – Wojciechowski popisał się znajomością geografii. – Ale kanał jest od Odry.

– Aha. – Piotr popatrzył na niego ze zdziwieniem. – No więc za Kanałem Kościańskim – bardzo to podkreślił – po lewej stronie jest parking i zajazd położony na skraju parku. Od strony Wrocławia jechał inny samochód. Pojawił się zza zakrętu i wiedząc, w jakie auto ma uderzyć, ustawił się bokiem po lewej tak, by Krzysztof centralnie na niego wpadł. – Piotr zaznaczył na ziemi miejsce kraksy.

– Klasycznie zajechał mu drogę. Wiedział, co robi. W drogówce wszyscy mają przećwiczony taki manewr. Skręcając na lewy pas, pozwolił się uderzyć w bok. Ten bezpieczniejszy oczywiście, od strony pasażera. – Detektyw dorysował do znaków Piotra kilka swoich kresek.

– Ja widziałem zdjęcie tego auta. Popielate mondeo miało zmiążdżony przód. Czołówka ze skutkiem śmiertelnym. Wózek na złom.

– A rejestrację pan widział?

– Nie wiem, nie pomyślałem o tym. – Piotrek zdziwił się tym pytaniem.

– Niech mi pan podeśle, OK? – Grzegorz, uzyskawszy potwierdzenie, wrócił do swojego toku, dalej bazgrząc patykiem. – Z technicznego punktu widzenia jest to wykonalne. Pan Robert czekał na tym parkingu i kiedy przyszedł właściwy moment, dał cynk, żeby tamten wykonał kontrolowane zderzenie. Dobre miejsce, żeby auta szybko przestawić na bok na ten parking. Cała akcja mogła trwać, ja wiem... z minutę. Potem sprzątnęli pana Krzysztofa i zawieźli do prywatnej kliniki w Poznaniu. Nikt się nie zgłosił w publicznym szpitalu w Kościanie. Żadnych śladów. Wszystko załatwione po cichu, za kasę. Pytanie, skąd Robert wiedział

i dlaczego akurat tam się znalazł. Panie Piotrze, to wygląda na zasadzkę. Do tego trzeba się dobrze przygotować.

– GPS – odparł krótko.

– W telefonie, w aucie? Jakaś szpiegowska zabawka? – Wojciechowski wyrzucił patyk i wyprostował się przed Piotrem.

– On mi opowiadał, że Robert miał pozakładane różne aplikacje. Sam pan powiedział, że często dwa różne numery wisiały na jednym telefonie. Poza tym wiedział, że on chce spotkać się ze mną. Może z Gdańska jechał do Wrocławia, zatrzymując się po drodze w Poznaniu. Robert bał się, że wszystko się sypnie. Jeśli dojdzie do spotkania ze mną, nie znajdzie już żadnego wytłumaczenia. Raz mu się udało. Musiał go za wszelką cenę zatrzymać, nawet jeśli mógł go w ten sposób zabić. – Teraz Piotr jasno dedukował, patrząc w oczy detektywowi, jakby szukał w nich potwierdzenia swojego rozumowania. – On do tej pory ma wątpliwości, jak naprawdę to wyglądało.

– Nie przedstawił mu pan żadnych dowodów. Panie Piotrze, nie ma co się dziwić, jego zna kilka lat, z panem się nawet nie spotkał. Zastanawiam się, czy lekarze w tej prywatnej klinice wiedzieli, kogo przyjmują na oddział? Co dalej z tym samochodem po wypadku? Co z ubezpieczeniem? Jak to przyjęli u niego w pracy, jeśli to było auto służbowe?

– No i skąd Robert wiedział, kiedy i gdzie się zacząć? – dopowiedział kolejne pytanie do ciągu niewiadomych detektywa.

– Dowie się pan, mam nadzieję, na spotkaniu. W każdym razie ten etap musimy zakończyć. Skoro już wiadomo, że Sebastian Hille to Krzysztof, jak on ma na nazwisko?

– Nie wiem. Znam tylko prawdziwe imię.

– Jeśli na tych zdjęciach, które panu przesłał, będzie czytelna tablica rejestracyjna, to ustalenie nazwiska nastąpi bez najmniejszych problemów. Na tym kończymy zlecenie. W aucie mam dla pana gotowy raport ze wszystkiego, co do tej pory zrobiłem. Żeby miał pan jasność.

Po kilku chwilach stali już przy BMW Grand Coupe 6. W kwietniowym świetle wyglądało jeszcze dostojniej. Piotr pomyślał, że rzeczywiście to idealne auto do szpanowania i że trzeba mieć specyficzne predyspozycje, by uznać je za rodzaj fetyszu. Wojciechowski wyjął z bagażnika koszulkę z raportem.

– Niech pan rzuci okiem, czy mniej więcej się zgadza.

– Na pewno – odparł Piotrek.

W końcu nic szczególnego detektyw nie zrobił, wiele ustalili wspólnie, dedukując i analizując poszlaki, łącząc fakty w większe fragmenty, aż złożyła się z tego obecna całość.

– Oczywiście te ustalenia co do nazwiska są już w cenie – dorzucił Wojciechowski.

– Tak, tak, podeślę panu te foty. Sam nie wiem, dlaczego na to nie zwróciłem uwagi – odpowiedział i podszedł do swojego samochodu, by wyjąć gotówkę, drugą połowę kwoty, na jaką zawarli umowę. Detektyw przeliczył banknoty i wrzucił je do schowka swojego auta od strony pasażera, po czym przeszedł na stronę kierowcy.

– No więc jesteśmy kwita – podsumował.

– Na tym etapie tak – potwierdził Piotrek.

– Niech pan da znać, jak będzie pan już umówiony z nim w Warszawie. Niech pan robi tak, jak powiedziałem. Ja

jeszcze pogadam w firmie, co da się zrobić. Policja jest tym bardzo zainteresowana.

– Panie Grzegorzu, myśli pan... – nie zdążył skończyć, bo Wojciechowski przerwał mu, wiedząc, co chce powiedzieć.

– Nie wiem. Wszystko zależy od spotkania z panem Krzysztofem. Co on potwierdzi i czy będzie chciał wystąpić przeciwko Robertowi. Proszę uważać, na razie jest pan bezpieczny.

– Bezpieczny? – Piotr powtórzył, jakby się przesłyszał.

– Tak. Sprawdziłem, czy nie ma szumu wokół pańskiej osoby. Czy ktoś nie szuka pana po personaliach, nie wnosi jakichś dziwnych zapytań, także tych, wie pan, dostępnych jedynie operacyjnie. Jest pan czysty, ale bez szczegółów, OK? Tego nie ma w raporcie. – Podał mu rękę, kończąc rozmowę. – Na razie.

– Na razie – odpowiedział Piotr i na pożegnanie klepnął go w ramię jak starego kumpla.

Nareszcie moje ukochane Kaszuby. Kilka świątecznych dni tutaj sprawiło, że naprawdę odpocząłem. Jaki ja jestem jednak rodzinny... Jadę po matkę, aby podrzucić ją do ciotki, poprosiła mnie. Powietrze tutaj ma zupełnie inny zapach. Przesączone jest niespotykaną mieszkanką olejków eterycznych. W końcu Bory Tucholskie to największy kompleks lasów w Polsce i chyba w Europie, nie licząc Puszczy Białowieskiej. To filtr dla całej Europy, jak Puszcza Amazońska dla świata. O tej porze roku przyroda budzi się do życia, a większa ilość światła słonecznego pobudza przyrodę do aktywności. Tu rzuca się to w oczy najbardziej.

Matka wsiadła do auta. Nie zdążyłem jej przywitać, gdy zadzwonił telefon.

- Pan Krzysztof Biber? – odezwał się z głośnika kobiecy głos.
- Tak. A z kim mówię?
- Policja, muszę panu zadać kilka pytań. Czy bywa pan w Poznaniu?
- Tak, bywam, a o co chodzi? Skąd ma pani do mnie numer i co się stało? – Trochę się zaniepokoiłem. I jeszcze mama obok... popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i pytająco. Na szczęście się nie odezwała.
- Był pan przypadkowym świadkiem kradzieży w bankomacie. Kamery uchwyciły numer rejestracyjny pana auta.
- Podana numer i poprosiła o potwierdzenie. Zgłupiałem. Jaka kradzież, jaki bankomat? Matka udawała, że nie słucha tej rozmowy.
- Zgadza się. Ale nic nie pamiętam, nawet nie zauważyłem niczego podejrzanego. W Poznaniu? Kiedy, gdzie?
- Spokojnie panie Krzysztofie. Czy może pan swobodnie rozmawiać?
- Tak, prowadzę auto, ale mam zestaw. O co chodzi? – popatrzyłem na mamę. Gdybym powiedział, że nie, zaczęłyby się jakieś niepotrzebne domysły. Byłem bardzo zdenerwowany. Raz, dziwnym telefonem, dwa, obecnością pasażerki. Musiałem pokazać, że nie mam nic do ukrycia.
- Proszę się nie denerwować, panie Krzysztofie – powtórzyła. – Chcę tylko ustalić kilka faktów. Sprawa jest delikatna, dlatego musiałam się upewnić, że pan to pan i że może pan rozmawiać. Czy zna pan policjanta z Poznania o imieniu Robert?
- Zamurowało mnie. Gwałtownie przyhamowałem i szybko zmieniłem ton głosu.
- Czego pani ode mnie chce? Nie znam żadnego Roberta – wrzasnąłem na nią w akcie samoobrony.

– To bardzo ważne. Proszę się zastanowić i nie udzielać pochopnie odpowiedzi.

– Jaki Robert? Jaki policjant? Skąd ma pani ten telefon? Skąd pani zna moje nazwisko?

– Chcemy panu pomóc i muszę się dowiedzieć, czy pan Robert jest... – policjantka odpowiedziała nad wyraz spokojnie, nie kończąc zdania.

Byłem zszokowany, policja zadzwoniła na mój telefon służbowy w obecności matki, pytała o Roberta i twierdziła, że sprawa ma charakter kryminalny. Jakaś masakra. Matka udawała, że szuka czegoś w torebce, manifestując swój pozorny brak zainteresowania kłopotliwą rozmową.

– Nie znam, powiedziałem już!

– A może pan Robert nie jest policjantem, tylko pana kolega? – Zapytała z wyczuwalną w głosie ironią. – A Sebastian Hille? Jego też pan nie zna, tak?

– Kogo? Nie... nie, proszę pani, nie znam nikogo takiego. Skąd ma pani mój numer i dlaczego mnie pani niepokoi? – Straciłem cierpliwość. Moja nerwowość mogła wskazywać, że coś ukrywam. Matka dziwnie spoglądała na mnie, w końcu z torebki wyjęła swoją komórkę, by zająć się czymś konkretnym.

– Panie Krzysztofie... Sprawa może dotyczyć bardziej delikatnych kwestii... dlatego rozumiem pana podirytowanie. Nie mogłam inaczej zapytać, sam pan rozumie. Wiem, że może być pan pod presją pana Roberta... Prowadzę tę sprawę wspólnie z kolegą, jest przy mnie i słucha naszej rozmowy, która jest nagrywana. Jeżeli nie zna pan nikogo o tym imieniu, lub kogoś, kto jest policjantem i być może posługuje się innym imieniem, lub kogoś, kto pana do czegoś zmuszał...

– DOŚĆ! – straciłem cierpliwość. Czuję, że zaraz padną słowa, z których będę się musiał tłumaczyć coraz bardziej zniecierpliwionej i zdziwionej matce.

– Nie znam nikogo! Proszę mnie nie męczyć takimi pytaniami. Nie wyrażam zgody na żadne nagrywanie!

– Spokojnie – uciszyła mnie kobieta. Proszę przemyśleć moje pytanie o znajomość z policjantem z Poznania o imieniu Robert. Nic panu nie grozi... Proszę pomyśleć i zapisać mój numer telefonu tak w razie gdyby....

Odłożyłem słuchawkę. Serce waliło jak głupie. Uchyliłem okienko i bąknąłem pod nosem:

– Co za idioci. Straszą tylko ludzi.

Matka spuściła głowę i nie odezwała się nic. Ja też nie chciałem tego komentować. Byle ją szybko zawieźć do ciotki, pomyślałem. Ale po chwili zapytała:

– Masz jakieś problemy? To dlatego zerwałeś z Kaśką? Dlatego zamierzasz wrócić na Kaszuby?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Myśli kłębiły mi się nieskładnie, a szybko musiałem znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie.

– Mamo, słyszałaś, to pomyłka – powiedziałem z ulgą, bagatelizując całe to zajście. – Szukają świadka jakiegoś głupiego napadu. To nie moja wina, że przez przypadek znalazłem się w obiektywie kamery. Bez sensu, naprawdę...

Jej oczy posmutniały, znowu spojrzała w dół. Wiedziałem, że nie uwierzyła w moją wymówkę. Za oknem mijaliśmy kolejne zabudowania, wjeżdżając w obręb starego miasta. Byłem tak zdenerwowany, że przegapiłem zjazd z ronda w centrum i znowu musiałem minąć budynek XIX-wiecznego kościoła. Matka przeżegnała się, mówiąc:

- Niech będzie błogosławiony Jezus Chrystus.
Zawsze tak robiła przy tym kościele.
- O co ci chodzi? - Postanowiłem sam zagadać.
- Ukrywasz coś przede mną, prawda?

Zjechałem z ronda. Byliśmy coraz bliżej domu ciotki. Jeszcze trochę i ją wysadzę. Zapadła cisza, a ja musiałem jej coś odpowiedzieć. Pomyślałem:

Tak mam, ukrywam. Tak bardzo cię kocham... Nie jestem tym, na jakiego mnie wychowałaś. Nigdy nie będę księdzem. Nigdy nie będę prawdziwym mężem, nawet nie będę ojcem. Nie doczekam być może nawet twojej śmierci, pogrzebu ojca i to was postawię w obliczu swojej trumny.

Kartuzy rozświetlają się kwietniowym słońcem. Nadal panuje milczenie. Przejeżdżaliśmy tuż przy parku, gdzie wzdłuż drogi rosły forsycje. Na Kaszubach kwitną dłużej niż gdzie indziej.

Mamo, wiesz, jak ja lubię ten żółty kolor, mam, wiesz... jak bardzo chciałbym, abyś czytała mi teraz w myślach... Jestem gejem. Gdybyś usłyszała, jak to do ciebie mówię, wypowiadam te dwa słowa. Mało tego, jestem zбочonym gejem. Jestem pedalem, wiesz? Nawet nie jestem Krzysztofem, jestem Sebastianem, tym Sebastianem, o którego zapytała przed chwilą ta policjantka. Wiesz, nawet też nie jestem Sebastianem... jestem PiDi, dziwisz się? Nie rozumiesz? Też bym nie rozumiał... Ale postaram się, wytłumaczę ci, że „PiDi” oznacza Osobistego Psa. To z angielskiego, wiem, że słabo znasz ten język, ale do tego nie trzeba być poliglotą, żeby zrozumieć. Mam, jestem psem, w dodatku psem zakażonym. Widzę, że jednak nie rozumiesz. Tak, mam, mam HIV. Szok, co? Jestem toksyczny. Jestem naznaczony. Umrę na AIDS. Nie ma już nawet chyba znaczenia w tej sytuacji to, MAMO, że jestem pedalem, Sebastianem, psem z hivem. Mam, słyszysz mnie?”

Matka siedzi wyprostowana, nadal zaciska dłonie. Tak jakby czuła, o czym myślę. W kąciku oka kręci się jej łza.

„Mamo, nie płacz, zaśpiewam ci piosenkę, chcesz?”

Raz i dwa, raz i dwa. Pewna pani miała psa. Trzy i cztery, trzy i cztery. Pies ten dziwne miał maniery. Pięć i sześć, pięć i sześć. Wcałe suczek nie chciał jeść. Siedem osiem, siedem osiem. Wciąż o lody ciągle prosił. Dziewięć dziesięć, dziewięć dziesięć. Kto z was więcej mu przyniesie? Może ja może ty, licz od nowa raz, dwa trzy... Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy baba mama patrzy...

Podoba ci się? Chyba nie myślisz, że to wszystko prawda? Ale jaka prawda? No ta sprawa z policją. Jestem tak zakłamanym, że nawet nie stać mnie na odrobinę szczerości. Kłamię nawet na spowiedzi. Kłamię nawet w myślach. Bluźnię, bo jestem potępiony. Kłamię, bo jestem stracony”.

Popatrzyła na mnie zatroskanym wzrokiem i schowała komórkę do torebki. Jeszcze jedno skrzyżowanie, jeszcze jedno światła. Może trafimy na zielone i nie będziemy czekać.

– Mamo, chyba nie myślisz, że jestem gejem? – wyparowałem nagle. Nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę. Pytanie jak kamień w bucie, jak ość w gardle. Zawisło nad nami. Nawet nie drgnęła, przeczekała pierwszą burzę emocji, których mogłem się spodziewać.

– A dlaczego miałabym myśleć, że jesteś gejem? – odbiła spokojnie pytanie.

Nic nie odpowiedziałem, ale zrobiło mi się źle. Niech teraz myśli, co chce. Nie bać się kurwa, najważniejsze, żeby się nie bać. Kogo? W mojej sytuacji? Czego? W obliczu tego co mam? A co mam: pewną śmierć, pasażera do końca życia, miejsce w kolejce po leki co miesiąc, kredyt hipoteczny do starości. To

czego się tu kurwa bać?! Uff, skręt w prawo, jednokierunkowa, ostatnia prosta i wysiadka.

„Mamo, wypuściłaś mnie z domu ze scyzorykiem, krawacikiem, maturalnym bilecikiem Uzbroiłaś mój uśmiech po zęby. Zawinęłaś mi kanapkę z tuńczykiem i dałaś stołek z zupą pomidorową. Pokazałaś mi wielki świat w kinie i na wczasach, mówiąc, że kredyty są dla ludzi i kazałaś kochać kobiety takie same jak TY. Wysłałaś mnie do psychologa, który wzmocnił moje poczucie winy i powtarzałaś swoim koleżankom, jakim to jestem wspa-
niałym synem. Myślałaś, że to wystarczy. A teraz siedzisz obok mnie zakłopotana i nie wiesz, co powiedzieć. Najlepiej chcia-
byś wiedzieć wszystko, choć nerwowo przebierasz nogami, bo nie wiesz, jak przerwać tę ciszę pełną żenady, co?”

Daję trochę głośniej radio. Wydaje mi się, że z głośników słyszę swój lamentujący głos:

Mamo, mamusiu, matulu, mameczko. Matki, matunie, mamusie. Te, co karmicie swoją piersią, i te, co dbacie o to, byśmy nie byli głodni. Te, co rozdajecie słoiki, i te, co życie dla swoich synów. Te, co straciłyście ostatnią godność, podnosząc swoich zapitych na śmierć pierworodnych, co tkwicie w nieświadomości o życiu synków dyrektorków i prezesików. Które urodziłyście pedofilów i gwałcicieli i te, które na świat wydałyście Chrystusów i księży. Matki ciemężne i matki roztropne. Matki niepokalane i matki kurewskie. Matki ogrodniczki i matki siewcze. Matki Polki i matki Niemki. Matki kobyły i matki kłaczki. Matki sponiewierane i matki wyniosłe. Matki pistoletki i matki sierpówki.

Wzywam Was, zamknijcie swoje macice... Matki Boskie i matki demoniczne, wzywam Was, obudźcie się! Matki kochające i matki płaczące – ocalcie swoje dzieci. Matki przekonane

o swojej racji – posłuchajcie racji innych. Matki wędrowniczki, spoczniście. Matki otyłe, schudnijcie. Matki gejų, pamiętacie ich małe tyłki, przewijane z taką troską. Teraz są odbytami dorosłych z rozwiniętą prostatą – łechtaczka illuminatów. Anus vulkanus, mundus erectus, gloria victis”.

Matka otworzyła okno. Przeciąg owiał mój kark. Poczujęm zapach jej perfum. Wiem, że zaraz wyjdiesz stąd, kiedy zatrzymam auto przed domem ciotki Dzitki.

Pytasz, mamo, dlaczego miałabyś myśleć, że jestem gejem. Nie wiem... ale jestem homo, skąd? Nie wiadomo. Nie wiem, jak mnie zahiviono, uzwierzęcono, w gównie pogrzebano, rano. Nie jestem bogaty, nie jestem dzieciaty, nie jestem kumaty i nie lubię taty. Tata mój kochany nie jest zniewieściaty, zabija pedały, bo jest doskonały. Nie dowie się mama, co mi zajębała zahiviła pała.

Mamo, ciężko mi w tej masce, którą założyłem, to dla ciebie zawsze piękny byłem... Gdy się spotykamy, nie zawodzę mamy. Mówię, co lubię, co zrobię po ślubie, ile dzieci do babci przyleci... Gdzie mam się iść leczyć?”

Podjechałem wreszcie pod dom ciotki. Matka szybko uwolniła się z pasów bezpieczeństwa i wyszła z auta, trzaskając drzwiami. Nie powiedziała nic.

Nareszcie. Otworzyłem okno po swojej stronie. Przeciąg wywiał słodko-mdławawy zapach mojej matki, a ja chwyciłem za telefon i wybrałem numer do Piotra.